

WACŁAW JANKOWSKI

25 września 1939 r. o godz. 13.30 w Brześciu nad Bugiem, ul. Unii Lubelskiej, złożyłem broń wraz z całym oddziałem składającym się z różnych rodzajów broni. Po rozbrojeniu władze bolszewickie wszystkim szeregowym (oprócz oficerów), zamieszkałym w pobliżu Brześcia, wydały zarządzenie, aby szli do domu, a innym – zamieszkałym w oddali – nakazały zbiorowo maszerować na dworzec kolejowy. Po przybyciu zostaliśmy zatrzymani. Nie pozwolono nam wychodzić, obstawiono nas strażą.

Tak czekaliśmy do przyścia pociągu towarowego. W międzyczasie rozpoczęła się rewizja osobista, a po niej załadowano po 70 ludzi do wagonu i pociąg ruszył w kierunku Baranowicz. Zaznaczam, że po załadunku nas wagon zamknięto i zaśrubowano. W drodze niektórzy oderwali zabite okna i wyskakiwali podczas biegu pociągu. Strzelali do nich jak do psów żołdacy bolszewicy z breków wagonów, udało mi się zobaczyć przez małą szparę wagonu, jak pod Baranowiczami zabili dwóch, a jednego ranili. Wieźli nas jak na stracenie, aż do stacji Niegoreło, gdzie nastąpiła segregacja według stopni wojskowych i jeszcze powtórna rewizja. Następnie z powrotem zagnano nas do wagonów i pociąg ruszył w dalszą podróż. Zaznaczam, że żadnego wyżywienia nam nie wydali, aż dopiero w drodze na małym przystanku otrzymaliśmy bułkę chleba na dziesięciu, po dwa kawałki cukru, małe kawałki mydła, paczkę machorki i dwa wiadra zimnej wody. Jechaliśmy dalej i w Mińsku wydano wieczorem obiad: rzadką zupę (kapuśniak) bez chleba. Pojechaliśmy w niewiadomym kierunku, aż zatrzymano nas w Briańsku, gdzie również w porze nocnej otrzymaliśmy rzadką zupę (grochówkę) bez chleba. Tak dociągnęliśmy do stacji kolejowej, której nazwy nie pamiętam, pod Moskwą. Wygruzili nas i odbył się marsz 35 km „traktem Napoleona” do obozu Pawliszczew-Bor, następnie przemianowany na Juchnowo. Po drodze niektórzy opadali z sił, bito ich kolbami i szczuto psami, gdy pozostawali w tyle.

Dotarliśmy do obozu, w którym zgromadzili 12,8 tys. ludzi, w tym: generała, oficerów sztabowych, oficerów młodszych, komisarzy policji i szeregowych wszystkich rodzajów broni. Zakwaterowali nas w różnych budynkach: murowanych, drewnianych i stajniach (jak śledzie w beczce). W obozie przeżywaliśmy ciężkie chwile niedoli, dawano nam raz dziennie rzadką zupę gotowaną na mięsie i może 200 g prawie surowego chleba. Zaczęły grasować choroby, jak czerwonka i tyfus brzuszny. Umierało bez liku, zmarłych bolszewicy wynosili w porze

nocnej, w kocach grzebiąc ich bez pomocy naszej. Zdarzyło się, że jednego wyciągnęli spod pryczy – leżał już trzy dni. Z głodu żołnierze wyciągali żołądki bydłące ze śmietników, prawie zgniłe i gotowali na rejonie, ratując się przed widmem śmierci. Codziennie wyczytywano według nazwisk i uprzedzano: kto posiada broń, niech ją zda, gdyż w razie znalezienia zostanie skazany na śmierć i tak przypuszczalnej daty 26 października 1939 r. wywołano [mnie] według numerów porządkowych.

Przepuścili nas przez bramę, za którą odbyła się jeszcze rewizja, a potem pognali pod silną eskortą, na przędzie [mając] rkm, a w tyle psy, do stacji kolejowej i po załadowaniu wywieźli [nas] do Krzywego Rogu, do odlewni stali. Zostaliśmy wyładowani – kilka wagonów – a reszta pojechała dalej w niewiadomym kierunku.

Zaczęła się ciężka praca w fabryce i przy kanalizacji, a wciąż pod strażą. Po paru dniach nastąpił odmarsz na rudnik „Bolszewik”. Droga [wynosiła] przeszło 26 km, [maszerowaliśmy] nocą, podczas silnego deszczu, tak że przyszliśmy przemoknięci do suchej nitki. Rano zabrano nas wszystkich bez względu na wiek (bez oględzin lekarskich) do różnych prac w kopalni, po uprzedzeniu, że jeżeli będzie praca, to ci dostaną jeść; a ten, kto nie będzie robić, otrzyma sto gram chleba i trzy razy supę – co też czynili z tymi, którzy niezdolni byli pracować z powodu choroby. W barakach odbywały się rewizje co kilka dni, a podejrzanych wzywano na różne śledztwa.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia. 24 grudnia 1939 r. urządziliśmy sobie wspólną Wigilię – niektórzy wybrani spośród wszystkich łamali się zamiast opłatka chlebem, przy tym śpiewano kolędy, o czym władze bolszewickie zostały powiadomione przez niejakiego Feliksa Masłowskiego, który mówił poprzednio, że pochodzi z Baranowicz. W porze wieczornej wtargnęli politrucy, zrobili zbiórkę w całym budynku nr 24 (murowany) i wywołali mnie z szeregu. Podano do wiadomości, że zostaję aresztowany jako przywódca spisku – zamachu na władzę sowiecką i za agitację. Aresztowano mnie i osadzono w areszcie, gdzie zastałem w malutkiej celi kolegów: plut. Gurczaka, plut. Stefana Borosia i podchor. Wereszczakowa. I tak wszyscy spędzaliśmy święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Wywoływano z celi na przemian, przeważnie w nocy, do kancelarii na badania dokonywane przez politruków i sędziów śledczych. Straszono podczas przesłuchania wywiezieniem na „białe niedźwiedzie” oraz obiecywano nagrody – mnie [np.] 500 rubli i oswobodzenie do domu za wydanie oficerów i księży znajdujących się między nami. Zaznaczam jednak, że

podczas badań przez bolszewików nie byłem chłostany, z innymi natomiast tak postępowali. 5 stycznia 1940 r. wypuszczono mnie, z tym, że na każde żądanie miałem być w pogotowiu do przesłuchania. 20 maja 1940 r. dokonali gruntownej rewizji, zabierając brzytwy, noże, żyłетки, łżyki i ostre narzędzia i wywieźli nas na daleką Północ, wioząc jak dziką rogaciznę. Po przyjeździe do Kotłasu wyładowali [nas], nastąpiło karmienie: zupa i bułka chleba na sześciu (podczas drogi dawali cztery razy po bułce chleba na dziesięć [osób], po jednej suszonej rybce, dwa kawałki cukru, paczkę machorki i wiadro zimnej wody). W Kotłasie zdarzyło mi się widzieć, jak umarłych z innych transportów *chroniono* na cmentarzu bez trumien i może ćwierć metra głębokości w ziemi, widziałem połowę poprzedniego trupa na wierzchu. Pognano nas dalej aż do Urdomy, obozu nr 55, a dalej do Tywy – zaczęła się praca przy budowie linii kolejowej Kotłas – Archangielsk: karczowanie pni, rzynanie drzew, niwelacja mokrych terenów, przerzynanie gór skamieniałych (wysokości 150–250 m), wywożenie ziemi taczkami po trapach do 130 m przy mrozie do 60 stopni. I w dalszym ciągu posuwali nas z pracą na obóz 54., a następnie do stacji kolejowej Szyjes [?] pod Mieżogiem. Praca była ciężka, grunt zmarznięty, a wyżywienie było dawane według wykonania normy pracy. Bardzo było trudno wykonać wyznaczoną normę nawet najsilniejszemu, dlatego też i dużo pozostało na dalekiej Północy naszych rodaków. Pamiętam nazwiska niektórych: niejaki Sroka, młody chłopiec, był cały opuchnięty, a jednak gnano go na robotę – nie wytrzymał tego i zmarł w szpitalu obozu jeńców nr 55 w Urdomie oraz plut. Stefan Boroś (zam. przed 1 września 1939 r. [w] Hajnówce, woj. białostockim), którego zamordowali i z gruźlicy zmarł w wyżej wymienionym szpitalu. Ja wskutek wycieńczenia uznany zostałem przez lotną komisję lekarską za niezdolnego do żadnej pracy (choroba nóg i zębów, szkorbut), ledwie chodziłem i to z kijem, a jednak naczelnik obozu jeńców polecił mi gotować dzień i noc wodę na „Tytanie”, gdyż praca odbywała się podczas białych nocy na dwie zmiany. Pomoc wielką miałem od kolegów, którzy w wolnych chwilach wpadali, rznęli drzewo i rąbali.

I tak płynęły dni. Aż dostaliśmy wiadomość, że wyjeżdżamy, co też się spełniło – zostaliśmy zwolnieni i powiezieni do obozu w Wiaźnikach, gdzie po przyjęciu defilady jeńców przez pana płk. Nikodema Sulik[–Sarnowskiego] wstąpiłem do armii polskiej.

Miejsce postoju, 13 marca 1943 r.

Sierżant Wacław Jankowski

